



Janusz Feiner

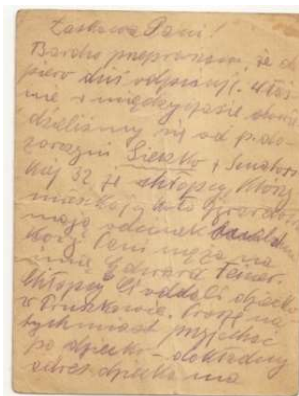
POCZTÓWKA NADZIEI

Dnia 7 sierpnia 1944 roku w czasie pacyfikacji Powstania Warszawskiego Niemcy wypędzili wszystkich mieszkańców i naszą rodzinę z budynku schroniska przy ulicy Senatorskiej 32. Na ulicy Żabiej tłum ludzi wyrzuconych z domów, został podzielony na dwie grupy kobiet i mężczyzn. Mama wraz z dwoma moimi braćmi znalazła się w grupie kobiet, która pod eskortą żołnierzy niemieckich zmuszona była do pieszej wędrówki do obozu w Pruszkowie. Ojciec ze mną (11 miesięcznym niemowlęciem), trzymanym w rękach i kuzynem Stanisławem B. musiał dołączyć do grupy mężczyzn.

Mamie udało się uciec z pochodu do Pruszkowa i przez dwa miesiące tułała się z dwójką dzieci w okolicach Warszawy, poszukując jakiegokolwiek informacji o mężu i dziecku. Poszukiwania nie dały żadnych efektów, a życie w tragicznych i niebezpiecznych było nie do zniesienia, więc postanowiła ewakuować się do Krakowa z nadzieją na znalezienie pomocy u dalszych krewnych.

Dalsze poszukiwania Mama prowadziła już z Krakowa, korespondując z osobami, które mogły coś wiedzieć na temat losów męża i dziecka. Zachowały się z tego okresu 24 kartki pocztowe nadesłane na adres pobytu Mamy w Krakowie.

Wśród tych pocztówek jedna, datowana na dzień 7 października 1944, dostarczała pierwsze informacje o miejscu mojego pobytu i choć o Ojcu nie było ani słowa, to dawała nadzieję na szczęśliwe zakończenie dramatu rodziny.



Czy ta pocztówka rzeczywiście mogła być „promykiem nadziei” dla mojej Mamy? Bardzo dużo zagadek zawartych jest „między wierszami” treści tej pocztówki, jak np. :

- jaką rolę w odnalezieniu 11 miesięcznego bezimiennego niemowlęcia odegrały osoby w niej wymienione?
- jak silne więzi łączyły te osoby, że wiedziały o dramacie mojej rodziny i pomogły w moim odnalezieniu, pomimo wojennych trudności ?
- jak mnie zidentyfikowano, skoro odcinek meldunkowy z nazwiskiem mojego ojca znajdował się 30 km od miejsca mojego pobytu?
- czy to możliwe aby Niemcy więzili niemowlę w obozie pruszkowskim?
- dlaczego nie ma słowa na temat mojego Ojca w tej pocztówce?

O niezwykłym przypadku mojego odnalezienia i losie moich najbliższych opowiem w tym tekście z nadzieją na upowszechnienie zasług osób, które udzielały nam pomocy i wsparcia w wielu tragicznych sytuacjach życiowych.

TUŁACZKA KRESOWIAN

Moi rodzice pochodzili z miejscowości Zagrobela położonej koło Tarnopola a ich rodziny zamieszkiwały sąsiedzkie gospodarstwa. W 1914 roku obie rodziny emigrowały z ojcowizny do Brna na Morawy chroniąc się przed wojskami rosyjskimi. W 1919 roku moi dziadkowie powrócili w rodzinne strony do kompletnie zrujnowanych gospodarstw w Zagrobeli. Dzięki własnej gospodarności odbudowali gospodarstwa, wychowali dzieci i pomogli zdobyć im wykształcenie.

Rodzice moi zawarli związek małżeński w 1932 roku i prowadzili ustabilizowane, szczęśliwe, spokojne i dostatnie życie początkowo we Lwowie, a później w miejscowości Skałat. Ojciec zdobył stanowisko naczelnego inżyniera budowy dróg i mostów w województwie tarnopolskim, a Matka prowadziła dom i zajmowała się wychowaniem synów.



Maria, Jerzy, Edward Feinerowie 1935



Edward Feiner

Niestety w 1939 roku gdy starszy syn Jerzy miał 9 lat, a młodszy Kazimierz 5 lat rodzinna sielanka się skończyła z powodu nasilającego się nacjonalizmu ukraińskiego i agresji armii sowieckiej.

Władze sowieckie wydały rozporządzenie wzywające mężczyzn do zgłoszenia się na posterunkach wojskowych. Ojciec jako oficer rezerwy ukrył się w domu swoich rodziców w Zagrobeli pod Tarnopolem aby uniknąć wcielenia do armii sowieckiej.

Nieobecność Ojca w domu Mama usprawiedliwiała, przed poszukującymi go żandarmami, obowiązkami służbowymi jakie miał poza domem przy nadzorowaniu robót drogowych w województwie tarnopolskim. Usprawiedliwienie to na szczęście okazało się na tyle wiarygodne, że żandarmi przestali nachodzić dom i rodzice zyskali w ten sposób cenny czas na przygotowanie ucieczki. Ojciec sprzedał samochód i za środki uzyskane ze sprzedaży mógł sfinansować transport rodziny w kierunku Przemyśla, a później do Warszawy, gdzie spodziewał się stworzyć rodzinie bezpieczniejsze warunki życia.

Z pomocą życzliwych i oddanych mu ukraińskich pracowników zorganizował transport i którejs nocy wywiózł rodzinę ze Skałatu do Warszawy.

Desperacka decyzja moich rodziców o porzuceniu ustabilizowanego, sielskiego i dostatniego życia okazała się przezorna gdy później poznali los dwóch braci mojego Ojca, dwóch jego kuzynów i innych krewnych. Wszyscy oni zostali zamordowani w Katyniu, a kilku innych członków rodziny zamęczono w zagładzie wołyńskiej.

WARSZAWA - SCHRONISKO DLA UCHODźCOW

W Warszawie rodzice z dwoma synami zamieszkali w jednym pokoju razem z czteroosobową rodziną p. Longiny Ronke pochodzącej ze Śremu k. Poznania w schronisku dla uchodźców przy ulicy Senatorskiej 32. Wspólnym wysiłkiem przedzielono pokój na dwie części za pomocą starych sprzętów i w ten sposób te obie rodziny rozwiązały problem posiadania skromnych warunków prywatności. Aby utrzymać rodzinę Ojciec mój musiał zapomnieć o swoim inżynierskim wykształceniu zdobytym w słynnej Politechnice Lwowskiej, roli zarządzającego drogami i mostami w województwie tarnopolskim i zarabiał pieniądze wykonując usługi szewskie.

W 1943 roku moje przyjście na świat powiększyło rodzinę. Skromna uroczystość chrztu świętego odbyła się w kościele św. Antoniego 10.04.1944 roku.



W rogu na pierwszym planie Jerzy Feiner. Na drugim planie od lewej ciocia Stanisława, Kazimierz, Maria, Janusz Feiner. W trzecim planie od lewej Edward Feiner i rodzice chrzestni Janusza – Sława Feiner i Stanisław Bojakowski.

Do małego pokoju nr 37 usytuowanego na trzecim piętrze kamienicy wprowadził się więc nowy najmłodszy lokator, co znacznie pogorszyło warunki egzystencji jego mieszkańców. Życie w ciasnocie, w wielkim ubóstwie było trudne, niepewne i wymagało od wszystkich wielkiej cierpliwości, zrozumienia i tolerancji.

Każdy dzień okupacji, ciągłe zagrożenie „łapankami” zastawianymi przez Niemców na warszawiaków budziło niepokój o teraźniejszość i przyszłość. W połowie 1944 roku gdy armia sowiecka zatrzymała się na prawym brzegu Wisły, warszawiacy z wielką nadzieją na wyzwolenie obserwowali exodus wojsk okupanta.

Prawdziwa radość nastąpiła gdy wybuchło Powstanie Warszawskie. Jego początkowe sukcesy urealniły nadzieję na rychły koniec wojny. Kto tylko był sprawny fizycznie z zapalem brał udział w budowaniu barykad aby wspomagać działania żołnierzy Powstania. Mieszkańcy naszej kamienicy musieli schronić się w piwnicach w obawie przed bombardowaniem, a żołnierze zajęli mieszkania, gdyż z okien mieli dobre stanowiska strzeleckie i mogli penetrować wszystko co działo się na Placu Bankowym. Pomimo znacznego pogorszenia warunków życiowych wszyscy cieszyli się, że koszmar wojny się kończy i będą mogli rozpocząć normalne życie.

WYPĘDZENIE I ROZŁĄCZENIE RODZINY

Dnia 7 sierpnia 1944 roku Niemcy wtargnęli do Schroniska, wypędzili mieszkańców z piwnic, w których od kilku dni chronili się przed bombardowaniem miasta. Moja mama Maria wyszła z budynku ze mną (11 miesięcznym niemowlęciem), z dwoma moimi braćmi, Jerzy miał 11 lat, a Kazimierz miał 7 lat, naszym Ojcem Edwardem i jego siostrzeńcem Stanisławem. Ulica zamieniona w gruzowisko była nie do poznania. Wokół dym, ogień, zwłoki ludzkie, przerażone twarze wypędzanych.

Popychani karabinami przez Niemców dołączyliśmy do tłumu warszawiaków, prowadzonego w stronę ulicy Elektoralnej. Wspólny marsz nie trwał długo bo już przy ul. Żabiej, hitlerowcy rozdzielili rodziny. Żołdacy niemieccy, poszukując ukrywających się w tłumie żołnierzy Powstania, odłączyli kobiety i dzieci od mężczyzn. Mama przeczuwając niebezpieczeństwo grożące mojemu Ojcu, oddała mnie w jego ręce z nadzieją, że nikt nie odważy się skrzywdzić dziecka pozbawiając je opieki rodzicielskiej. Wierzyła, że dziecko w rękach ojca wzbudzi litość i w ten sposób ochroni mnie i Ojca.

Po tej selekcji Mama utraciła wszelki kontakt z Ojcem i ze mną, ponieważ grupa kobiet i dzieci prowadzona była oddzielnie od grupy mężczyzn pod eskortą uzbrojonych Niemców do obozu w Pruszkowie.

Gdy nastąpił zmierzch Mama moja wykorzystwała nieuwagę żołnierzy niemieckich i uciekła z Jurkiem i Kazikiem z transportu. We Włochach znalazła tymczasowe schronienie u znajomych. Podobnie jak wielu innych wypędzonych warszawiaków w następnych dniach tułała się z synami od domu do domu w poszukiwaniu kolejnego schronienia i jakiegokolwiek informacji na temat losu męża i dziecka. W RGO czasami udało się jej dostać zupę tzw. „wodziankę”, a niekiedy w kościołach i na plebaniach skromny posiłek. Na

tablicach ogłoszeniowych parafii, na płotach i ogrodzeniach warszawiacy zamieszczali informacje o osobach zaginionych i tam Mama bezskutecznie poszukiwała informacji o mnie i moim Ojcu.

Kontynuowanie poszukiwań w skrajnie trudnych i niebezpiecznych warunkach bezdomności zagrażało życiu i zdrowiu dzieci, wobec czego Mama po miesiącu tułaczki zdecydowała się na bardzo ryzykowną ewakuację do Krakowa. W Krakowie spodziewała się uzyskać pomoc od siostry szwagra mojej Mamy - Izydory Königsman, która była zakonnicą w klasztorze Sióstr Miłosierdzia - Szarytek i pod zakonnym imieniem Emilia prowadziła działalność charytatywną.

POD BIAŁYMI SKRZYDŁAMI ANIOŁÓW MIŁOSIERDZIA - SIOSTRA EMILIA

Polacy mogli podróżować koleją tylko w otwartym wagonie umieszczonym przed lokomotywą. Niemcy pozwalali Polakom na przejazd w tym wagonie aby wymusić na partyzantach rezygnację z akcji dywersji ukierunkowanych na paraliż transportów kolejowych poprzez zaminowywanie torów.

Podróż w wagonie przed lokomotywą narażała pasażerów na wielkie niebezpieczeństwo. Pomimo tego zagrożenia zdobycie miejsca w tym wagonie okazało się bardzo trudne. Przez dwa tygodnie moja Mama wegetowała z dwójką dzieci na dworcu kolejowym w oczekiwaniu na szansę dostania się do pociągu jadącego do Krakowa.

W końcu po dramatycznej podróży Mama i moi bracia dotarli do Krakowa. Znaleźli się w nieznanym mieście, bez dachu nad głową i bez środków do życia. Mama niezwłocznie udała się na ulicę Mikołajską 30 gdzie Siostra Emilia z ramienia Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia - Szarytek, prowadziła Dom dla Ubogich i Chorych Stowarzyszenia Pań Miłosierdzia im. Św. Wincentego a'Paulo.

W tym domu udzielano pomocy i wsparcia ludziom poszkodowanym przez wojnę, osobom biednym, chorym i niepełnosprawnym, wydawano posiłki z kuchni zorganizowanej przez Stowarzyszenie. Szczęśliwie Siostra Emilia, otoczyła białymi skrzydłami miłosierdzia i nieocenioną opieką również moją Mamę i braci.



Siostra Emilia
Izydora Königsman

Aby zapewnić im spokój i bezpieczeństwo Siostra Emilia zorganizowała miejsce do spania w magazynie za workami z mąką na wypadek rewizji, które Hitlerowcy w przeprowadzali poszukiwaniu ukrywających się żołnierzy AK.

„SZUKANIE IGŁY W STOGU SIANA”

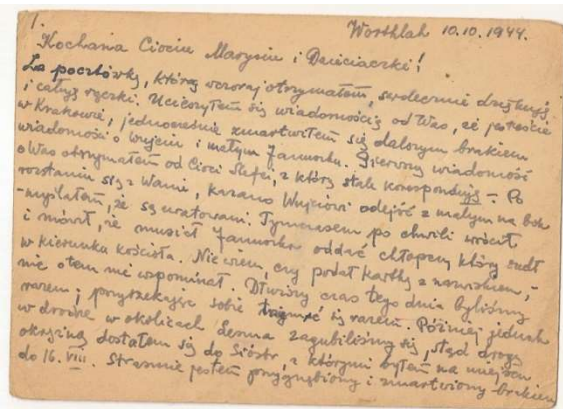
Pomimo wielkich problemów egzystencjalnych Mama nadal konsekwentnie i z uporem poszukiwała mnie i Ojca, zaginionych w Powstaniu. Trudność prowadzenia poszukiwań wynikała z rozproszenia się po całym kraju wszystkich osób, które mogły posiadać wiedzę o naszym losie, zatarcie wszelkich śladów adresowych oraz niełatwej komunikacji w wojennej rzeczywistości.

Nie potrafię wyjaśnić jak Mama zdobyła adresy tych osób, ale korespondencja była prowadzona bardzo intensywnie. Zachowały się 24 kartki pocztowe z 1944 roku nadesłane przez okres 3 miesięcy na krakowski adres mojej Mamy¹.

Ponad dwa miesiące po rozłączeniu rodziny Mama otrzymała pierwszą wiadomość od kuzyna Stanisława. Stanisław przysłał z obozu w Worthlah pocztówkę i w niej opisał fakty, których był świadkiem : *„Po rozstaniu się z Wami, kazano Wujciowi odejść z małym na bok – myślałem, że są uratowani. Tymczasem po chwili wrócił i mówił, że musiał Januszka oddać chłopcu który szedł w kierunku kościoła. Nie wiem, czy podał kartkę z nazwiskiem; nic o tem nie wspominał. Dłuższy czas tego dnia byliśmy razem; przyrzekając sobie trzymać się razem. Później jednak w drodze w okolicach Leszna zagubiliśmy się...”* .

¹ Skany pocztówek z roku 1944.

<http://dulag121.pl/2016/06/historie-opowiedziane-po-latach-rodzina-feinerow/>



Informacje zawarte w tej pocztówce dowiodły, że Niemcy nie okazali litości ani wobec ojca, ani wobec dziecka, czego oczekiwała moja Mama oddając mnie w ręce Ojca przed rozdzieleniem rodzin. Zmuszenie ojca do oddania nieznanym osobom własnego dziecka było aktem okrucieństwa i trudno jest zrozumieć dlaczego Stanisław opisał to w tak oszczędny, zwięzły i bezemocjonalny sposób. Trudno zrozumieć dlaczego nie wyjaśnił Mamie powodów odebrania dziecka, bo wydaje się mało prawdopodobne aby Ojciec tego jemu nie powiedział. Z dzisiejszej perspektywy wiemy, że Niemcy realizowali plan germanizowania polskich dzieci i najprawdopodobniej ja miałem zostać przeznaczony do wynarodowienia. Z treści tej

pocztówki Mama mogła wywnioskować jeszcze, że 7 sierpnia 1944 roku mój Ojciec żył. Mogła ponadto sądzić, że moje życie nie jest zagrożone, ponieważ Niemcy odebrali mnie od Ojca żywego w im tylko wiadomym celu. Złą wiadomością było to, że najprawdopodobniej utraciłem tożsamość gdyż nie posiadałem żadnych znaków identyfikacyjnych.

W ówczesnych okolicznościach w ogólnie panującym chaosie okupacyjnym, masowej migracji ludności, codziennych zabójstw, deportacji i innych zagrożeń czyhających ze wszystkich stron, szanse odnalezienia Ojca i mnie (jak można sądzić), zmalały do zera.

Mama jednak nadal z wielką determinacją i pośpiechem kontynuowała poszukiwania, gdyż miała świadomość, że wraz z upływającym czasem wygląd dziecka się zmienia i rozpoznanie go będzie coraz trudniejsze. W środowisku Sióstr Miłosierdzia Mama otrzymywała wielkie wsparcie psychiczne i duchowe. Siostra Emilia zainicjowała odprawianie nabożeństw i modlitw w intencji odnalezienia mnie i mojego Ojca. Postarała się o to aby nabożeństwa odprawiane były w jednym z najważniejszych krakowskich sanktuariów w kościele Marii Panny (Kościół Mariacki) przy Rynku Głównym, zaledwie 200 metrów od miejsca gdzie otrzymaliśmy schronienie. Modlitwy były ratunkiem dla zdruzgotanej psychiki mojej Mamy a bliskość położenia tej świątyni sprawiała, że mogła odbywać je codziennie.

ZDARZYŁ SIĘ CUD?

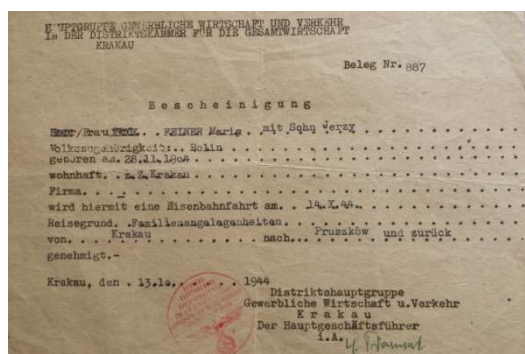
Czy parasol ochronny rozłożony nad naszą rodziną przez Siostry Miłosierdzia, ich anielskie białe skrzydła koronetów i modlitwy miały wpływ na bieg dalszych wydarzeń, trudno ocenić, niemniej pewnego październikowego popołudnia po zakończonym nabożeństwie Mama z braćmi wychodząc z Kościoła zauważyła służebną Jadwigę, która biegła ulicą Mikołajską, wymachiwała trzymaną w ręku karteczką i krzyczała: „...znalazło się! Dziecko znalazaaazło się!!!”.

W hałasie panującym na ulicy Mama usłyszała te słowa ale nie wierzyła, że zdarzył się cud. Drżącymi dłońmi Mama wzięła pocztówkę i próbowała rozszyfrować tekst napisany nieczytelnie, chaotycznie i bardzo zagadkowo. Wśród nabazgranych ołówkiem słów: „...dowiedzieliśmy się od p. dozorkyńni Sieczko z Senatorskiej 32, że chłopcy którzy mieszkają koło Żyrardowa mają odcinek meldunkowy Pani męża na imię Edward Feiner. Chłopcy ci oddali dziecko w Pruszkowie. Proszę natychmiast przyjechać po dziecko – dokładny adres dziecka ma pani Kuntzowa.”, poznała tę najważniejszą i najlepszą wiadomość, że żyję i jestem w bezpiecznym miejscu. Wiadomość tę nadesłał z miejscowości Żyrardów pan Waław Rutka - sąsiad mojej rodziny z ulicy Senatorskiej 32. Pan Rutka napisał jeszcze, że chłopcy mieszkający koło Żyrardowa, którzy zostawili mnie w niemieckim obozie w Pruszkowie, mają karteczkę na której są napisane słowa Edward Feiner!!!

Informacja ta po chwili euforycznej radości uświadomiła mojej Mamie, że odnalezione niemowlę może być obcym dzieckiem ponieważ karteczka z nazwiskiem Edward Feiner - mój znak identyfikacyjny - znajduje się nie przy mnie w Pruszkowie, a w miejscowości Żyrardów, które znajduje się w odległość 30 kilometrów od Pruszkowa. Drugą smutną refleksję wywołała data wysłania tej kartki pocztowej - 07.10.1944 roku. Data ta dowodziła bezspornie, że od dnia rozstania moich rodziców i utraty kontaktu mojej Mamy ze mną, co miało miejsce 61 dni wcześniej, nie posiadałem żadnych znaków rozpoznawczych. Nikt nie znał mojego nazwiska, wieku, narodowości i innych danych osobowych. Wobec tego fakt pewność, że dziecko

opisane przez pana Rutę to jestem ja - dziecko Marii Feiner – spadło do minimum. Smutne musiało być też to, że gdyż między wierszami komunikowała jakiś okropny dramat. Jeśli dziecko nie jest przy ojcu, to dlaczego i co dzieje się z Ojcem?

Z tymi mieszanymi, niepewnymi myślami moja Mama podjęła starania o zgodę władz niemieckich na wyjazd z Krakowa do Pruszkowa.



Po otrzymaniu zgody na wyjazd Mama pozostawiła Jurka i Kazika pod opieką zakonnic i udała się w podróż 14.10.1944 r.

W Pruszkowie niestety, pod wskazanym adresem nie znalazła osoby, do której została skierowana. Błąkała się po ulicach nie mając żadnego pomysłu jak szukać miejsca mojego pobytu. Nastął zmierzch, światła na ulicach i w mieszkaniach pogasty z powodu zarządzanej przez okupanta godziny policyjnej. Ciemność miała uniemożliwić lotnictwu aliantów rozpoznawanie miast i lokalizowanie obiektów z wysokości.

Poruszanie się po godzinie 20-tej było zabronione i Mama gorączkowo szukała schronienia przed patrolami niemieckimi sprawdzającymi przestrzeganie zarządzenia dotyczącego godziny policyjnej. W pewnym momencie zauważyła patrol na końcu ulicy i ukryła się w jednej z niezamkniętych bram budynku przy ulicy Kościuszki 33. Wbiegła na podwórze i na parterze w jedynym oświetlonym oknie oficyny budynku zobaczyła kobietę karmiącą dziecko.

Oczy i serce matki rozpoznały natychmiast i bez najmniejszego wahania w dziecku, które trzymała kobieta stojąca przy oknie, swojego syna utraconego w sierpniu. Można sobie wyobrazić emocje jakie musiały Ją ogarnąć jeśli bez żadnego uprzedzenia (jak to opowiadała), wpadła do mieszkania ze słowami: „...Januszk, nareszcie cię odnalazłam!!!” Kobieta zaskoczona nagłym wtargnięciem mojej Mamy do mieszkania odparła, że niejedna już kobieta twierdziła, że to jej dziecko, po czym okazywało się, że myliły się.

Po tych doświadczeniach gospodyni uznała, że najlepszym sposobem na potwierdzenie identyfikacji będzie ubranko dziecka. Postanowiła że będzie prosić osoby zgłaszające się po dziecko aby opisały strój, który miało na sobie w chwili rozstania z nim. Gdy gospodyni poprosiła o opisanie tego ubranka moja Mama nie miała z tym najmniejszych trudności ponieważ własnoręcznie je uszyła. Wtedy gospodyni podeszła do szafy i wyjęła strój opisany przez moją Mamę. Na tej podstawie identyfikacja dziecka nie budziła żadnych wątpliwości. Problem pojawił się wówczas gdy Mama chciała mnie wziąć na ręce, a ja zareagowałem na ten gest wybuchem gwałtownego płaczu. Mogło to wskazywać, że ja nie rozpoznałem Mamy. Gospodyni jednak z wyrozumiałością przyjęła moje zachowanie rozumiejąc, że przez okres 3 miesięcy dziecko otoczone dobrą opieką i miłością w jej domu mogło potraktować prawdziwą matkę jak obcą osobę.

Gospodyni o nazwisku Kucharska zaproponowała mojej Mamie kilkudniowy pobyt w domu aby uchronić mnie przed kolejnym wstrząsem rozstania tym razem z nią - przybraną matką. Mama przyjęła propozycję z wdzięcznością, a również z nadzieją, że będzie miała możliwość przywrócenia uczuciowych relacji z dzieckiem, a także zrekonstruowania wydarzeń i okoliczności, które doprowadziły do jego odnalezienia.

PRÓBA ODTWORZENIA DRAMATYCZNYCH WYDARZEŃ Z DNIA 7 SIERPNI 1944 ROKU

Pani Kucharska razem z moją Mamą odtworzyły niektóre okoliczności mojego odnalezienia. Udało im się ustalić, że Niemcy odebrali mnie od Ojca i oddali przypadkowo napotkanym nieletnim chłopcom z rozkazem przekazania do obozu w Pruszkowie. Ojciec mój w tym dramatycznym momencie wykazał wielką przytomność umysłu, przekazując chłopcom swoją kartę meldunkową. To zachowanie wskazuje, że był przekonany, iż niemowlę bez jego obecności utraci tożsamość. Prawdopodobnie zakładał, że jego własna karta meldunkowa, pozostawiona przy mnie, będzie pomocna w jej zidentyfikowaniu. Niestety chłopcy nie doczepili karty z nazwiskiem Ojca do mojego ubrania, nie oddali jej również w obozie w Pruszkowie.

Nie wiem jak długo przebywałem w obozie. Wiem natomiast, że pani Kucharska która z ramienia PCK w obozie zajmowała się dziećmi, nie mogąc pogodzić się z dramatycznym losem samotnego niemowlęcia, wyniosła je ukradkiem z obozu z postanowieniem aby je umyć i nakarmić w swoim domu, a później odnieść z powrotem do obozu. Ojciec pielęgniarki Mikołaj Kucharski (z zawodu szewc), zamieszkały razem z nią i synem Kazimierzem w Pruszkowie przy ul. Kościuszki nr 33 uznał, że skoro dziecko znalazło się już poza murami obozu, nie może do niego wrócić. Zdecydował zatrzymać niemowlę w domu do czasu odnalezienia się jego rodziny, natomiast w przypadku niepowodzenia poszukiwań planował przyjąć je do rodziny i uznać jako własne.

Do domu pana Kucharskiego zgłaszały się różne osoby, które utraciły dzieci, ale nikt nie rozpoznał w niemowlęciu swojego dziecka, zwłaszcza że wygląd niemowlęcia ulegał zmianie z upływem czasu. Mając to na uwadze państwo Kucharscy przechowali ubranko (w które przygarnięte niemowlę było odziane w obozie pruszkowskim), jako jedyny znak rozpoznawczy pozwalający zidentyfikować dziecko przez prawdziwych rodziców.

W rozpoznaniu mojej tożsamości pomógł niezwykle przypadek. Okazało się, że dwa miesiące po wypędzeniu ze Schroniska nasza sąsiadka pani Wanda Kuntze, w oczekiwaniu na pociąg na stacji kolejowej w Skierniewicach, nawiązała rozmowę z przygodną kobietą. Kobieta ta – również wypędzona z Warszawy - pewnego dnia została przyjęta na nocleg w mieszkaniu życzliwej rodziny pana Mikołaja Kucharskiego przy ul. Kościuszki 33. Opowiedziała pani Kuntzowej, że spędziła w tym domu tylko jedną noc ponieważ nie chciała nadużywać gościnności gospodarzy, którzy zajmowali się opieką nad dzieckiem uratowanym z obozu w Pruszkowie. Pani Wanda dopytywała się o wygląd dziecka z myślą, że może to byłbym ja syn pani Marii Feinerowej.

Pani Wanda Kuntze postanowiła osobiście sprawdzić poznaną informację i udała się pod wskazany adres. Zobaczyła dziecko, które jednak wydawało się większe od tego które знаła i nie bardzo podobne do mnie. Mimo to za pośrednictwem innego sąsiada z Senatorskiej postanowiła zawiadomić moją Mamę ponieważ ubranko, które gospodyni pokazała wydawało się jej podobne do tego, które moja Mama własnoręcznie dla mnie uszyła.

Czy zetknięcie się obu pań na dworcu w Skierniewicach było dziełem przypadku? Jak to się stało, że pani Kuntze wiedziała, że zaginąłem, jak to się stało, że skontaktowała się później z moją Mamą? Trudno uwierzyć, że chłopcy z Żyrardowa, którzy odnosili mnie do obozu w Pruszkowie okazali przypadkiem odcinek meldunkowy mojego Ojca panu Wacławowi Rucie, który znał panią dozorczynię Sieczko, panią Kuntze, moją Mamę i jej adres w Krakowie. Splot nieprawdopodobnych faktów i okoliczności związanych z moim odnalezieniem przekracza granice mojej wyobraźni. Niestety, na te i inne pytania nikt dotąd nie znalazł odpowiedzi.

Rodzina Państwa Kucharskich otoczyła mnie miłością i wszechstronną opieką. Po trzech miesiącach byłem traktowany jak ich własne dziecko. Domownicy próbowali odkryć moje imię używając rozmaitych imion licząc na to, że moja reakcja wskaże imię właściwe. Po wielu próbach okazało się, że reagowałem tylko na jedno z wypowiedzianych imion. Od tego czasu nazywano mnie imieniem Janusz, które jak moja Mama poświadczyła nadano mi podczas Chrztu Świętego.

Po kilku dniach pobytu w domu państwa Kucharskich Mama przygotowała się do drogi powrotnej do Krakowa. Otrzymała dla mnie wyprawkę, wózek i została odprowadzona na dworzec kolejowy. Z wielkim trudem zostałem włożony w wózek przez okno wagonu, ponieważ tłum ludzi pragnących dojechać do Krakowa blokował drzwi wejściowe.

Nie znam bliższych okoliczności mojego zetknięcia się z braćmi po trzymiesięcznym okresie rozłąki, ale miłość i troska jaką mnie otaczali w pierwszych latach życia wskazuje, że spotkanie nasze musiało być niezwykle radosne i wzruszające.

Przez 8 lat nie posiadałem formalnych dokumentów identyfikujących moją tożsamość. Dopiero 21 grudnia 1951 roku Sąd odtworzył mój akt urodzenia na podstawie zeznań świadków.

NOWE ŻYCIE W KRAKOWIE

W maju 1945 roku Stowarzyszenie św. Wincentego a'Paulo otrzymało nową siedzibę przy ul. Warszawskiej 5. Dzięki wielkiej, nieocenionej dobroczynności i prawdziwemu miłosierdziu Siostry Emilii

zamieszkaliśmy w niewielkim pokoju nr 10 na II piętrze tej kamienicy. Ten pokój przez 25 lat był dla nas czworga sypialnią, kuchnią, jadalnią, łazienką, salonem, garderobą i pomieszczeniem gospodarczym.



Janusz pod opieką Sióstr i Pań Miłosierdzia



Kazik, Siostra Emilia, Janusz, Maria

W tym pokoju moja Mama - wypędzona z Warszawy, bezdomna od kilku miesięcy, najuboższa spośród ubogich, bez męża zaginionego w Powstaniu Warszawskim, z trzema synami - po raz czwarty w swoim życiu rozpoczęła w wieku 40 lat nowy, najtrudniejszy okres życia.

Z wielką determinacją i wysiłkiem podejmowała każdą pracę aby zdobyć środki na utrzymanie, wychowanie i wykształcenie swoich trzech synów. Pierwszą w życiu pracę zarobkową otrzymała w kuchni prowadzonej przez Stowarzyszenie przy obieraniu ziemniaków i zmywaniu naczyń, później handlowała na placu żydowskim, a później otrzymała pracę referentki w biurze. Po pracy zajmowała się dziećmi i zwykłymi obowiązkami domowymi, własnoręcznie szyła dla nas ubrania i nie miała zbyt wiele czasu aby zamartwiać się swoją trudną sytuacją. Ciągłe jednak żyła w niepewności z powodu braku informacji na temat losu naszego Ojca. Kuzyn Stanisław, który ostatni widział Ojca w kolejnych listach dopytując o losy wujka podtrzymywał nadzieję, że nasz Ojciec żyje. Podobne nadzieje wyrażały również inne osoby korespondujące z Mamą i spodziewały się, że ktoś w końcu otrzyma od niego znak życia.

Bezskuteczne oczekiwanie na wieści o Ojcu sprawiało, że Mama była przygnębiona, smutna, ale wierzyła, że Ojciec żyje i nadal prowadziła poszukiwania drogą korespondencyjną również przez Polski Czerwony Krzyż i inne organizacje. Brak pomyslnych informacji oraz konieczność zalegalizowania statusu osoby samotnej były powodem, że Mama w końcu podjęła starania o sądowe stwierdzenie zgonu Ojca. Pod koniec 1948 roku Sąd Grodzki w Warszawie uznał naszego Ojca za zmarłego ustalając datę śmierci na dzień 7 sierpnia 1944 roku. Pomimo wydania tego postanowienia, mieliśmy wciąż nadzieję, że nasz Ojciec żyje lecz nie ma możliwości skontaktowania się z nami, choć niekiedy braliśmy też pod uwagę trudną do przyjęcia możliwość, że nas porzucił.

WSPÓŁCZESNA „WIEŻA BABEL” – DOM PRZY ULICY WARSZAWSKIEJ 5

W budynku przy ulicy Warszawskiej 5 przeżyłem ponad 18 lat pod opiekuńczymi białymi skrzydłami kornetów Sióstr Miłosierdzia i jeszcze 7 lat w środowisku Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, która w kolejnych latach stała się nowym gospodarzem tego obiektu.

Do połowy lat 70-tych kamienica przy ulicy Warszawskiej 5 była jednym z najdziwniejszych miejsc ze względu na ostre kontrasty dzielące styl życia i formy aktywności mieszkańców, a także cele i zadania instytucji działających na jej terenie. W tej jednej kamienicy była kaplica zakonna, klasztor sióstr Szarytek, pokoje sypialne zakonnice, pensjonariuszek w podeszłym wieku, rodzin, które utraciły swoje domostwa, personelu Stowarzyszenia św. Wincentego a'Paulo, ambulatorium medyczne, kuchnia i stołówka, teatr Rapsodyczny, scena szkolna i dom studentów PWST.

Ważnym obiektem sakralnym w tym domu była klasztorna kaplica usytuowana na I piętrze, którą opiekowała się siostra Emilia. Niedzielne nabożeństwa dla sióstr, ich podopiecznych i mieszkańców domu odprawiał często ksiądz Karol Wojtyła, a ja i moi bracia mieliśmy niezwykle szczęście pełnić ministrancką posługę podczas tych nabożeństw.

Wielu mieszkańców tego domu bardzo dobrze znało historię i losy naszej rodziny wypędzonej w Powstaniu Warszawskim, fakt zaginięcia mojego Ojca i mojego cudownego odnalezienia. Zawsze byłem otoczony wielką troską, życzliwością jako skarb cudem odzyskany, a Mama wspierana była modlitwą Sióstr, kapłanów i pensjonariuszek. Podczas nabożeństw odprawiano wspólne modlitwy w intencji odnalezienia mojego Ojca i pomyślnej realizacji trudnej misji życiowej naszej Mamy. Życie nasze do końca dni siostry Emilii - do 1963 roku związane było z Jej osobą. O tym jak niezwykle zasługi miała siostra Emilia dowodzi fakt, że uroczystość pogrzebową prowadził ksiądz biskup Karol Wojtyła,



Siostra Emilia w Kaplicy budynku Warszawska 5



Ksiądz wikary Karol Wojtyła

Siostry Szarytki w ramach działalności charytatywnej Stowarzyszenia, w stołówce mieszczącej się na parterze budynku, wydawały posiłki dla ubogich i niedrogie obiady z których korzystali krakowianie, a także studenci Politechniki Krakowskiej w drodze na uczelnię.

Na pierwszym i drugim piętrze tego budynku w latach 1947 - 1951 roku swoją scenę z widownią teatralną posiadał Teatr Rapsodyczny.



Budynek przy ul. Warszawskiej 5
Tablica pamiątkowa o teatrze Rapsodycznym



Jerzy, Maria, Janusz, Kazimierz

Jako kilkuletnie dziecko wkradałem się niepostrzeżenie na balkon widowni i godzinami podglądałem próby i spektakle Teatru Rapsodycznego w wykonaniu wielkich artystów tej sceny m. in. Danuty Michałowskiej, Mieczysława Kotlarczyka, Mieczysława Świącickiego, Tadeusza Malaka, Jana Adamskiego, Tadeusza Szybowskiego i wielu innych aktorów, a na widowni zasiadali miłośnicy teatru sztuki żywego słowa, wśród nich ksiądz Karol Wojtyła.

Niezwykle było to, że na wszystkich piętrach, zarówno koło kaplicy jak i sceny teatralnej mieściły się pokoje sypialne. Pokoje te zajmowały zakonnice - Szarytki, pensjonariuszki - samotne starsze damy, rodziny uchodźców Kresowych i ich nieletnie dzieci, personel kuchni i szwalni oraz zamiejscowi studenci szkoły teatralnej wśród nich: Jerzy Bińczycki, Jerzy Trela, Jan Nowicki, Jerzy Jogała, Jan Peszek, Wojciech Pszoniak i wielu innych znanych dziś aktorów.

Niegdyś budynek Stowarzyszenia św. Wincentego a'Paulo stopniowo przechodził we władanie Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego.

Pokoje odchodzących na „tamten świat” pensjonariuszek zajmowali zamiejscowi studenci szkoły. W tym magicznym miejscu następowało zderzenie się wielu kultur, norm obyczajowych i zachowań. Na

korytarzach w drodze do sanitariatów mijali się przyszli aktorzy powtarzający na głos kwestie przygotowywanych spektakli, zakonnice w białych kornetach, sędziwe damy, dzieci i osoby obsługujące Stowarzyszenie.

Na korytarzu drugiego piętra pomiędzy dekoracjami teatralnymi dzieci bawiły się w chowanego. W stołówce Stowarzyszenia spotykali się ubodzy krakowianie, studenci, księża, aktorzy, pensjonariusze i przygodni przechodnie. W niedzielne poranki odbywały się nabożeństwa w klasztornej kaplicy, a wieczorami korytarze zapełniali widzowie spektakli teatralnych.

Tak w budynku przy ulicy Warszawskiej 5 tworzyła się swoista „Wieża Babel”.

Po przejęciu całego obiektu przez Państwową Wyższą Szkołę Teatralną zadbano o to aby zamieścić na ścianie budynku tablicę pamiątkową o Teatrze Rapsodycznym. **O tym, że w tym budynku była kaplica klasztorna, w której przyszedł Ojciec Święty Jan Paweł II odprawiał nabożeństwa nie ma najmniejszego śladu!!!**

EPILOG

Powstanie Warszawskie przyniosło najtragiczniejszy rozdział w dziejach mojej rodziny. Te dramatyczne przeżycia zapisały się głęboko w pamięci moich dwóch starszych braci. Zapamiętali straszliwe sceny z pacyfikacji Powstania przez Niemców, wypędzania z mieszkań, palenia domów, mordowania ludzi, przymusowe rozłączenie z Ojcem i ze mną, najmłodszym członkiem rodziny. Przeżyli głód, bezdomność, wszawicę, biedę i ten bagaż strasznych wspomnień dźwigali przez całe życie.

Sceny z pacyfikacji Powstania Warszawskiego nie pozwalały mojemu bratu Jerzemu uwolnić się od koszmaru wojny i dręczyły go w dorosłym życiu². Pozostawił po sobie cykl 10 obrazów, które są wizualizacją nastrojów tej tragedii wyrażonych przez dojrzałego artystę malarza³.

Od braci, od mojej Mamy, dowiadywałem się o losach mojej rodziny i moim losie. Analizowałem korespondencję prowadzoną przez moją Mamę w sprawie poszukiwania Ojca i mnie, pamiętniki redagowane przez mojego brata Jerzego, moją Mamę i Davida Reibscheida (Andrzeja Steczko) sąsiada z Senatorskiej 32. Wszystkie te materiały posłużyły mi do odtworzenia dziejów naszej rodziny. Niestety pozostały białe plamy w historii mojego odnalezienia. Być może w odpowiedzi na ten tekst pojawią się świadkowie tamtych wydarzeń i istniejące luki uda się zapełnić.

Brak stabilizacji przeżyty przez moich braci w okresie wojny i komunistycznej okupacji sprawiły, że moi starsi bracia „zarażeni” w młodości wirusem tułaczki w dorosłym życiu nie mogli pogodzić się z kolejnym zniewoleniem naszego narodu i fikcją życia w okresie PRL.

W 1965 roku Kazik uciekł z Polski, poprosił o azyl w Szwecji, gdzie zdobył zawód architekta i założył szczęśliwą rodzinę.

Brat Jerzy po ogłoszeniu stanu wojennego nie wrócił z kontraktu w Libii do Polski i z całą rodziną wyemigrował do Włoch, a później do USA. Nadal borykał się z traumą, której źródło tkwiło w przeżyciach związanych z Powstaniem Warszawskim. Redagował wspomnienia z tego okresu, malował obrazy ilustrujące emocje tego czasu.



Wystawa obrazów Jerzego „Powstanie Warszawskie” – Pałac Sztuki, Kraków 2007

Każdy z tych exodusów w ówczesnej sytuacji politycznej skutkowało dla nich utratą dotychczasowego dorobku z powodu zamknięcia możliwości powrotu do kraju i koniecznością rozpoczęcia życia od nowa w nowym miejscu, wśród nowych ludzi i bez pewności na osiągnięcie powodzenia.

²http://www.wiadomosci24.pl/artykul/powstanie_warszawskie_w_oczach_jerzego_feinera_351027.html

³https://pl.wikipedia.org/wiki/Jerzy_Feiner

Jerzy z rodziną przez pewien czas mieszkał we Włoszech. Tam miał szczęście ponownie spotkać Karola Wojtyłę już jako Papieża i dziękować Jemu za duchowe wsparcie jakiego udzielał naszej rodzinie podczas duszpasterskich wizyt w naszym mieszkaniu przy Warszawskiej 5.



Jerzy Feiner, Kasia, Ojciec Święty Jan Paweł II



Piotr Feiner służy do Mszy Świętej
(rząd ostatni zajmuje rodzina Jerzego)

Syn mojego brata Jerzego - Piotr służył Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II do Mszy Świętej, co można uznać za powtórkę wydarzeń z kaplicy przy ul. Warszawskiej 5 w drugim pokoleniu.

Jurek zamieszkał później z rodziną w Los Angeles, realizując się w twórczości malarskiej. Wiele czasu poświęcał na poszukiwanie ojca, gdyż nie mógł pogodzić się z brakiem jakichkolwiek informacji na temat jego losów. Niestety dopiero pod koniec życia poznał prawdę. Wiadomość była szokująca!

Okazało się, że kuzyn Stanisław, który jako ostatni miał kontakt z Ojcem ujawnił swojej żonie przed śmiercią, że był świadkiem zastrzelenia naszego Ojca przez Niemców 7 sierpnia 1944 roku w bramie kamienicy przy ulicy Elektoralfiej w Warszawie. Z jej relacji wynika, że Ojciec był bardzo wzburzony faktem odebrania mu dziecka. Przewidując najgorszy przebieg dalszych wydarzeń przekazał Stanisławowi swoją kartę meldunkową z nadzieją, że on dołączy ją do dziecka aby miało znak identyfikacyjny, w przypadku gdyby zginął. Po śmierci Ojca Stanisławowi udało się przekazać tę kartkę chłopcom, którzy z rozkazu Niemców zanieśli dziecko do obozu w Pruszkowie. Dlaczego Stanisław przez 60 lat ukrywał tę tajemnicę? Już nigdy się nie dowiem.

Szczęśliwie ja nie doświadczyłem ucieczki z Kresów, tragedii Powstania Warszawskiego, nie musiałem trzykrotnie rozpoczynać życia od zera i za każdym razem uczyć się go w nowym miejscu i w nowej sytuacji. Nie byłem „skazany” na tułaczkę, nie wiem co to dobrobyt na Kresach, bezdomność w Warszawie i utrata Ojca tak jak moi bracia, bo tego nigdy nie zaznałem. Moje świadome życie rozpoczęło się w Krakowie gdzie byłem otoczony miłością i troską moich najbliższych, którzy traktowali mnie jak cudem odzyskany skarb i żyłem pod parasolem ochronnym białych skrzydeł kornetów Sióstr Miłosierdzia. Założyłem rodzinę, a osoby które znają moją historię mówią o mnie „w czepku urodzony”, ponieważ widzą moje życie i życie mojej rodziny jako szczęśliwe, spokojne, stabilne i uporządkowane.

Byłem ważnym choć nieświadomym uczestnikiem przynajmniej części opisanych wydarzeń i prawdopodobnie dlatego nie zaraziłem się bakcylem tułaczki. Moi bracia uciekając z rodzicami z Kresów rozpoczęli tułaczę życie, które zakończyli na obczyźnie. W efekcie nasze dzieci żyją w trzech odległych od siebie państwach świata i w życiu codziennym posługują się trzema różnymi językami.